Wspomnienie o „Maju nad Wilią”

W tym roku „Maj na Wilią” czyli spotkania poetyckie w Wilnie organizowane przez poetę i zapaleńca Romualda Mieczkowskiego odbywają się już po raz dwudziesty piąty. Historia festiwali jest bogata, a liczba ciekawych ludzi, którzy spotkali się w Wilnie układa się w barwną mozaikę. Oto historyczna relacja „Maja nad Wilią” z 1999 r. z jak najbardziej aktualnym przesłaniem.

Redakcja



Widok na Wilno, fot. Romuald Mieczkowski

Florian Śmieja

W dniach 2-5 maja w Wilnie już po raz szósty odbyły się Międzynarodowe Spotkania Poetyckie „Maj nad Wilią”. To dzięki wytrwałemu wysiłkowi zapaleńców inspirowanych przez Romualda Mieczkowskiego, poetę i redaktora dwutygodnika „Znad Wilii”, a zarazem właściciela Polskiej Galerii Artystycznej, impreza powstała i ściąga do miasta rok rocznie ludzi pióra, zwłaszcza poetów, którzy wśród pamiątek wielkich tradycji kulturalnych i w cieniu potężnych duchów, szukają wrażeń, inspiracji i kontaktów z pokrewnymi ludźmi.

Autobus z Warszawy jechał od Suwałk istnymi alejami bocianich gniazd przy ogromnym księżycu w chłodną noc osiągając mityczne Wilno. Dziwne było pierwsze wrażenie, kiedy spotykani na ulicach przechodnie nie znali języka polskiego w mieście, które Polakom tyle zawdzięcza.

W rocznicę Konstytucji 3 maja przywitała nas w dostojnej sali Związku Pisarzy Litwy dyrektorka Klubu Pisarzy Janina Rutkauskiene. Następnie udaliśmy się pod pomnik Adama Mickiewicza obok kościoła św. Anny, aby złożyć kwiaty. Pomnik jest dziełem powojennym, elementy projektowanego pomnika polskiego, płaskorzeźby, uplasowane są w pobliżu. Stamtąd ruszyliśmy na cmentarz na Rossie, gdzie zebrał się tłum Polaków czekających na oficjalne złożenie wieńców i kwiatów na grobie Matki marszałka Józefa Piłsudskiego. Po hołdzie Ambasador RP profesor Eufemii Teichmann, wieńce i kwiaty składały organizacje społeczne, młodzieżowe i prywatne osoby. Obecni byli liczni kombatanci w beretach z orzełkami. Przy grobie baczną straż pełniły harcerki, a obok stał chór górników miedzi z Lubina w galowych mundurach w czakach z białymi pióropuszami. Dla mnie i kolegów była to okazja, by pod pełną erudycji batutą poety Wojciecha Piotrowskiego odbyć pielgrzymkę po słynnym cmentarzu i zanotować miejsca spoczynku tylu znakomitości, chluby wielkiej przeszłości miasta. Ze szczególnym zainteresowaniem wędrowaliśmy do grobów rodziny Słowackiego, Władysława Syrokomli i zasłużonych dla

społeczności miasta osobistości. Wzruszył kamień, który zapadł się w ziemię i odczytać na nim można było tylko jedno słowo: „Cieniom”. Obecność świeżych mogił litewskich wydaje mi się dobrym znakiem, że cmentarz pozostanie.



Wilno, Ostra Brama, fot. Romuald Mieczkowski.

Po południu przed ratuszem, niestety przy małej publiczności,

gdyż dął niezwyczajnie zimny wiatr, chór górników z Lubina dzielnie śpiewał polskie pieśni, a wtórowała mu litewska orkiestra wojskowa grając polskie melodie ludowe, narodowe, a nawet legionowe. Trzeba było być obecnym, by uwierzyć, że w odpowiedzi na górników „Bo za naszą Polskę idą w bój", Litwini replikowali brawurowym marszem „My Pierwsza Brygada".

Zwiedzaliśmy Wilno z wielkim zapałem (większość była po raz pierwszy, ja liczyłem 12 lat, kiedy zobaczyłem miasto i po dzień dzisiejszy pamiętam gościnność i kokieterię uczennic Gimnazjum i Liceum im. Elizy Orzeszkowej). Robiliśmy zdjęcia pod domem w którym mieszkał Słowacki, w podwórzu na które wychodziło mieszkanie Mickiewicza. Weszliśmy z uszanowaniem na cudowny dziedziniec Uniwersytetu Wileńskiego z kościołem św. Jana. To dzień później w dostojnej auli 122 miałem spotkanie z kilkudziesięcioma studentami polonistyki i ich opiekunem, profesorem Algirasem Kaledą. Jego ilustrowany, po polsku wydany „Zarys literatury litewskiej" przywiozłem z sobą do Kanady. Ma służyć jako drogowskaz dla zainteresowanych literaturą Polaków. W postscriptum czytam: „… Pomimo bliskości terytorialnej i kulturowej Litwy i Polski, długiej wspólnej dla naszych państw historii, literatura litewska jest dla Polaków nieco <egzotyczna>, znana jeszcze w małym stopniu". Przyda się zapewne również tłumaczom, którzy, jak Alicja Rybałko czy Wojciech Piotrowski z Wilna, usiłują przybliżyć czytelnikowi polskiemu literaturę, a zwłaszcza poezję litewską.



Godła w Katedrze, fot. Romuald Mieczkowski.

W odnowionej katedrze okazale prezentowała się kaplica św. Kazimierza, zdumiewała bryła i wnętrze kościoła św. Piotra i Pawła, wzruszyła Msza za Ojczyznę odprawiona w kościele św. Ducha, jednym z cudownych kościołów barokowych, z których tak słusznie słynie Wilno. Kilka kościołów było w remoncie, cała starówka odnawiana jest z wielkim pietyzmem. Chętnie widzielibyśmy więcej napisów polskich, tak dokładnie pousuwanych.

Oprócz zwiedzenia muzeum im. A. Mickiewicza pojechaliśmy na peryferia Wilna do Markuć obejrzeć znajdujące się w dawnym

domu Grigorija Puszkina muzeum jego ojca, pomnik i cerkiewkę. W Jaszunach przed ruiną pałacu wspominaliśmy jego cienie: J. Śniadeckiego, A. Mickiewicza i nieszczęśliwie w Ludwice Śniadeckiej kochającego się Juliusza Słowackiego. Na Borejszczyźnie widzieliśmy pamiątki po Władysławie Syrokomli. Tam przy wieczornym ognisku odwiedziła i pogawędziła z nami pani Ambasador RP, przybył też konsul generalny, profesor M. Jackiewicz, a wśród innych gości poznałem Jerzego Głuszaka, dyrektora oddziału Kredyt Banku w Wilnie, jedynego polskiego banku działającego na Litwie.

Ponieważ „Maj nad Wilią" był przede wszystkim zlotem poetów, poezja rozbrzmiewała wszędzie: przy ognisku na Borejszczyźnie, w piwnicy pod Muzeum im. A. Mickiewicza oraz w polskich szkołach w Wilnie i okolicy. Poezja ta uwzględniała lokalną tradycję wielokulturowości: recytowano po polsku, po białorusku, litewsku, łotewsku, niemiecku, ukraińsku i rosyjsku. Ballady rosyjskie rozlegały się na biesiadach w Polskiej Galerii w otoczeniu bogatego zbioru obrazów artystów lokalnych i gościnnych.



Irena Wyczółkowska i Florian Śmieja, Wilno 1999 r.

Ważny element zjazdu stanowiły wizyty poetów w szkołach polskich. Towarzyszyłem Irenie Wyczółkowskiej, poetce zamieszkałej w Opolu, w spotkaniu ze starszą młodzieżą w wileńskiej Szkole Średniej nr 11 im. Adama Mickiewicza. Liczy ona ponad 1200 uczniów i posiada okazały, nowoczesny budynek. Czytaliśmy uczniom swoje wiersze, a następnie gawędziliśmy z nimi i ich wychowawczynią. Jest to jedna z ponad stu kilkudziesięciu szkół polskich utrzymywanych przez władze

litewskie. Sądzę, że te wizyty, osobiste kontakty z młodzieżą polską na Litwie, są szczególnie cenne i miłe dla obu stron. Młodzież na nie czeka, a z zasady odwiedziny na prowincji są bardzo ciepłymi świętami swojskości.

Oprócz poetów z Polski (niekiedy reprezentujących mniejszości np. ukraińską), przyjechała poetka i tłumaczka Renata Schmidgall z Niemiec, z Łotwy – tłumacz Herman Margers Majewskis, z Białorusi – Michał Wołosewicz oraz rosyjski poeta i tłumacz Witalij Asowskij. Poecie ukraińskiemu z Kijowa nie udało się na czas uzyskać wizy.

Trudno przecenić korzyści płynące ze spotkań ludzi pogranicza. Serdeczne kontakty ludzkie uzupełniają jeśli nie wręcz umożliwiają oswajanie surowych przestrzeni stwarzanych nam przez historię i polityków, dają lepszą szansę współżyciu i współpracy. Ks. Tischner napisał kiedyś: „Trzeba, aby pogłębiała się nasza wzajemność. Jesteśmy nie tylko ze sobą, ale i dla siebie". Więcej poetów polskich powinno wziąć sobie do serca te słowa i uczestniczyć w spotkaniach nad Wilią. Zaręczam im, że nie pożałują.

Tegoroczny „Maj nad Wilią" w stulecie niepodległości Polski i Litwy odbędzie się w dniach 27-30 maja.

Szczegółowy program ukaże się na Culture Avenue w czwartek 24 maja 2018 r.

Tymczasem zapowiedź w wykonaniu aktorki Joanny Moro, która będzie gościem festiwalu:

http://www.cultureave.com/wp-content/uploads/2018/05/mik2_Moro_b.mp3

Ostatni akord. Pożegnanie Jana Goczoła.



Jan Goczoł, sierpień 2017 r., fot. Bartosz Suwiński.

Bartosz Suwiński

Jan Goczoł to poeta osobny i odrębny. Zainteresowany tym, co najmniejsze. Jego poezja zaczęła się od gorączki uczuć, pobudek serca, za sprawą Małgorzaty, przyszłej małżonki. Jego debiut kręcił się wokół intymnej topografii, wokół lotnych piasków, którym na imię świat. Goczoł zdawał sobie sprawę z tego, że być może najbliżej z człowiekiem można być poprzez słowa, że to one skracają dystans, zjednują nam tę samą przestrzeń.

To poeta niezwykle czuły na każde drgnienie, powab, falowanie rzeczywistości. Wydany przestworowi, który z wolna sylabizuje

nam i nazywa światło, za sprawą którego zawiązują się widoki. Jest to poeta szerokiego oddechu i świeżego powietrza.

Poeta ziemi, którego miejscami najbliższymi stawały się pola, łąki, lasy, miedze. Kroczył własnymi ścieżkami i duktami, starając się zawsze zostawić w tyle miasto. W jego poezji jest coś z najlepszego rzemiosła: umiłowanie pracy i trud jaki trzeba ponieść starając się o cokolwiek. Znał smak i zapach ziemi. Rozmiłowany był we wszelkich jej owocach.

Jan Goczoł to poeta przydomowego ogrodu. Obserwator samotnej, postrzępionej chmury, wsiąkającej w glebę kałuży porzuconej w kącie rabatki, ptaków wzlatujących po okruszki, lotu pojedynczego liścia, którym targa wiatr. W zeszłym roku, w lutym, długo lamentował nad ściętą przez sąsiada wierzbą. W tym roku miał napisać wiersz o nawłoci, którą opiekuje się Pani Małgorzata – nie zdążył.

To poeta, przez wiersze którego, błąka się Stary Ślązak, prawodawca minionego, wycięty z przeszłości, który stale kluczy tymi wersami i pewnie nigdy nie odnajdzie swojej straty. Goczoł to poeta mitu, dla którego dawna wieś była miejscem odświętnym, gdzie czasy i ludzie godzili się ze sobą. Wiedział, że los to wzięcie odpowiedzialności za swoje przeznaczenie.

To również autor wierszy zgnębionych, poeta ciemnych pasm,

który dobrze wiedział, że w każdym śnie może mieszkać ból, że życie jest wydzieraniem powietrzu kolejnych oddechów, że jest tylko zbliżaniem się i oddalaniem od Tajemnicy. W *Przypisie do całości* czytamy:

> Mój czas, który jest
>
> wapienną ścianą w celi śmierci.
>
> W ścianie śladowe zapisy
>
> wydrapane ukradkiem. Być może
>
> całkiem inaczej znaczą
>
> niż sentencja wyroku. Być może
>
> znaczą wszystko.

W ostatnich tygodniach Jan często opowiadał, że nie może spać, budzi się nocami, wspomina. Wracał do niego stale sen. Stoi na

Noconiowej Górce, w Rozmierzy, przed sobą ma ojcowiznę, patrzy na rodzime ziemię, miedzę sąsiedzkie i inne pola, obejmuje to wszystko wzrokiem jak ramionami: czule i ciasno. A z oddali idzie ku niemu Matka, harda i silna, której trud i troskę – wychowała sama sześcioro dzieci – zawsze podziwiał.

Jan Goczoł to człowiek księżycowy, któremu patronowały gwiazdy. Janie wracaj w swoje uroczyska, odpoczywaj w pokoju. Niech to będzie niewidzialne, ale niech jest. Poeta u progu stycznia, dwa lata temu napisał:

> Jeżeli za wstawiennictwem mojego orędownika,
>
> świętego Jana Niepomucena,
>
> w miłosiernym osądzie otwarta zostanie dla mnie
>
> niebiańska furtka zbawienia, będę prosić o miejsce,
>
> z którego mógłbym słyszeć bezustannie
>
> niebiańską muzykę.

Janku, niech melodie płyną nie tylko na pocieszenie!



Pusta ławka w ogrodzie Małgorzaty i Jana Goczołów.

***

Florian Śmieja

OKOLICE OPOLA

Janowi Goczołowi

Odświętnym ładem tchnie cała równina.

Pola strzelistych skowronków złaknione

zasiewów wszystkie już nie doczekają.

Ubywa ciągle prawych gospodarzy.

Na łąkach sarny wystają zuchwale

hyca z powodzi ocalały zając.

Ludzie przybyli nieufnie słuchają

prastarych szumów nieznajomych lasów.

Nie rozumieją mowy autochtonów

śląskiego serca oddennego bicia.



Od prawej: Jan Goczoł, Irena Wyczółkowska i Florian Śmieja.

Jan Goczoł na Culture Avenue:

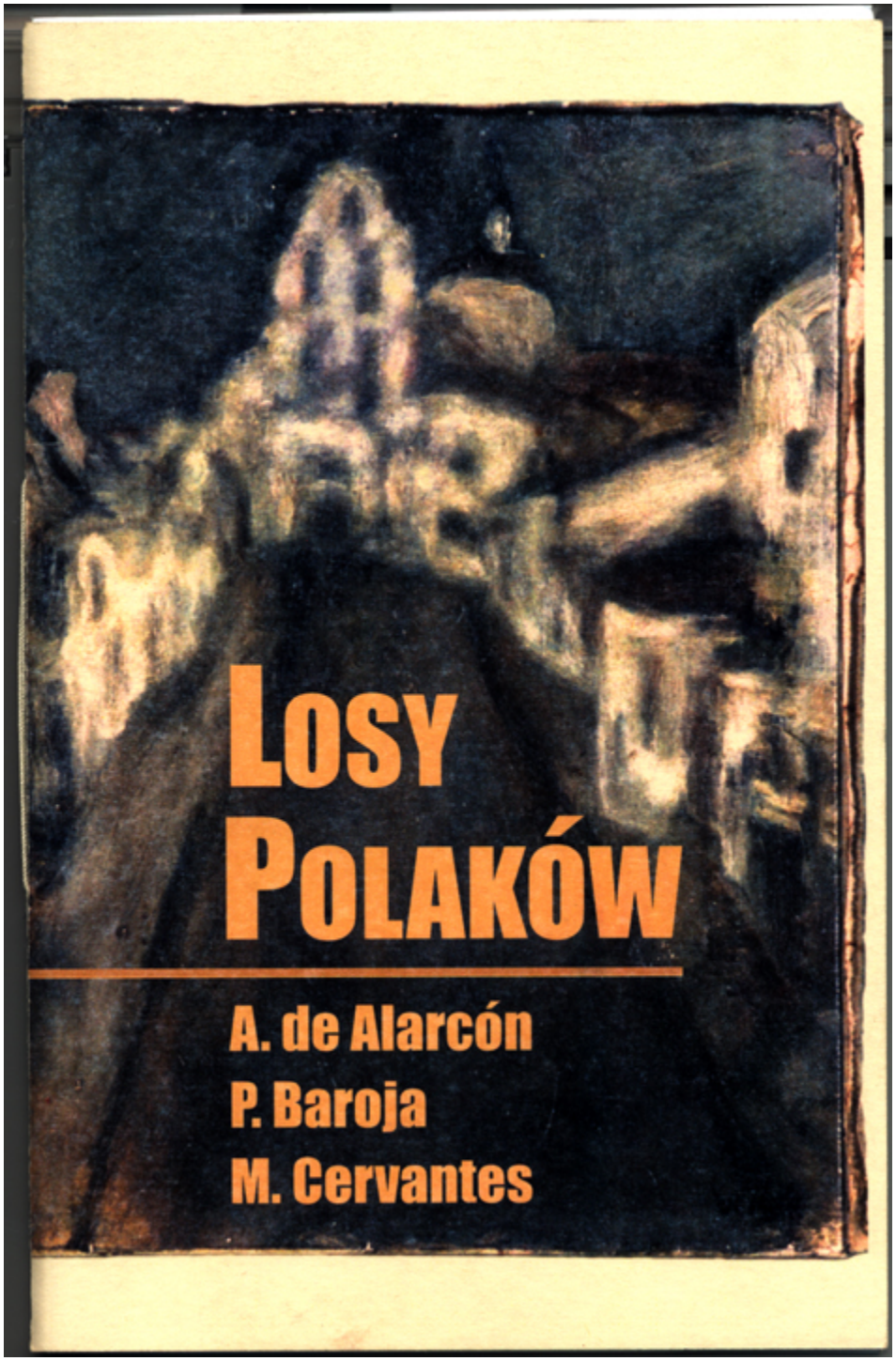
http://www.cultureave.com/jan-goczol-wiersze/

http://www.cultureave.com/poeta-innego-czasu-jan-goczol/

Cudzoziemiec

Pedro Antonio de Alarcón (1833-1891)

przełożył: Florian Śmieja



A. de Alarcón, P. Baroja, M. Cervantes, Losy Polaków: trzy opowiadania hiszpańskie, przełożył Florian Śmieja, Silican House, Missisauga, 2003. Drzeworyt Wilka Markiewicza na okładce.

I

Siła nie polega na powaleniu nieprzyjaciela na ziemię, ale na opanowaniu własnego szału – powiada wschodnia maksyma.

Nie nadużywaj zwycięstwa, dodaje księga naszej wiary.

Winnego, który dostanie się pod twoją władzę, uważaj za nieszczęśnika poddanego warunkom naszej upadłej natury i na ile to jest w twojej mocy, a bez szkodzenia stronie przeciwnej, okaż mu litość i łaskawość, bo choć boskie atrybuty są wszystkie równe, bardziej jaśnieje i objawia się, w naszej, opinii, miłosierdzie niż sprawiedliwość – radził Sancho Pansie Don Kichot.

Aby uświęcić te wzniosłe nauki, a także uwzględnić ducha równości, my, którzyśmy zwykli często opisywać i wynosić heroiczne czyny Hiszpanów w czasie wojny o niepodległość, a potępiać i złorzeczyć perfidii i okrucieństwu nieprzyjaciół, dziś opowiemy o zdarzeniu, które nie studząc w sercu miłości ojczyzny, umacnia inne uczucie, miłość bliźniego, nie mniej wzniosłe i głęboko chrześcijańskie. Jest to sentyment, który przez wrodzoną ułomność ludzkiego rodzaju, ustępuje, gdy rządzą twarde prawa wojny, może jednak i powinien błyszczeć, kiedy nieprzyjaciel został upokorzony.

Wedle osób zupełnie wiarygodnych, które mi o nim opowiadały, były z bliska jego uczestnikami, a nadal jeszcze żyją, rzecz miała

się następująco. Posłuchajcie ich własnych słów.

II

Odezwałem się: – Dzień dobry, dziadku.

– Bóg z tobą, paniczu – odpowiedział.

– Sami tak idziecie tą drogą?

– Tak, panie. Idę do mojej rodziny do Gador z kopalni w Linares, gdzie przez kilka miesięcy pracowałem. A pan?

– Idę do Almerii i nieco wóz wyprzedziłem, bo lubię piękne poranki kwietniowe. Ale jeśli się nie mylę, to modliliście się, kiedy nadszedłem. Możecie dalej się modlić, a ja sobie tymczasem poczytam, jeśli ten wóz będzie jechał tak wolno, że pozwoli mi uczyć się na środku drogi.

– Z tym czytaniem to jakaś zmyślona historia. Kto powiedział, żem się modlił?

– No, przecież sam wiedziałem, jak zdjęliście kapelusz i przeżegnali się.

– No, patrzcie! Co mam mówić, że nie. Modliłem się. Każdy ma swoje rozrachunki z Bogiem.

– Święta prawda.

– Daleko pan idzie?

– Ja? Aż do zajazdu.

– No, to chodź pan tą ścieżką, to sobie skrócimy drogę.

– Z przyjemnością. Ślicznie wygląda ta dolina, więc zejdźmy do niej.

Idąc za staruszkiem zamknąłem książkę i zszedłem z szosy do malowniczego wąwozu.

Zieleń i przezroczystość dalekiego widnokręgu oraz obniżanie się terenu zdradzały bliskość Morza Śródziemnego.

Przez kilka minut szliśmy w milczeniu. Naraz górnik się zatrzymał.

– Jesteśmy! – wykrzyknął.

Zdjął ponownie kapelusz i przeżegnał się.

Staliśmy nad brzegiem strumyka pod grupką figowców już pokrytych liśćmi.

– Dalejże, dziadku – rzekłem siadając na trawie. – Opowiedzcie mi o tym, co się w tym miejscu wydarzyło.

– Co? Pan wie? – zdziwił się

– Wiem tylko tyle – dodałem z zupełnym spokojem – że tu umarł człowiek i wygląda, że umarł złą śmiercią. Wasza modlitwa mi to zdradziła.

– Święta prawda. To dlatego się modliłem.

Przyjrzałem się uważniej twarzy górnika i nabrałem przekonania, że był zawsze człowiekiem uczciwym. Prawie płakał modląc się długo i rzewnie.

– Usiądźcie tu, ojcze – rzekłem podając mu papierosa.

– No, więc posłuchaj pan. No, nie. Dziękuję bardzo. Ależ on cieniuśki.

– To weźcie dwa naraz, a będzie jeden dwa razy grubszy – odparłem dając mu drugiego.

– Bóg zapłać. Otóż, panie – rzekł staruszek siadając przy mnie – przechodziłem właśnie tędy czterdzieści pięć lat temu. Ranek był taki jak dziś i czas był ten sam.

Czterdzieści pięć lat! – pomyślałem.

Melancholia czasu ogarnęła moją duszę. Gdzie się podziały kwiaty owych czterdziestu pięciu wiosen? Na głowie staruszka bielił się śnieg siedemdziesięciu zim.

Widząc, że nic nie odpowiadam, wyciągnął krzesiwo, hubkę, zapalił papierosa i tak ciągnął dalej:

– Bardzo on słabiutki! Toż to, panie, jechałem wtedy z Gelgal z ładunkiem solanki i kiedy dojechałem do miejsca, gdzieśmy zeszli z drogi na tę zieloną ścieżkę, spotkałem dwu hiszpańskich żołnierzy prowadzących jeńca, Polaka. To było jeszcze za tych pierwszych Francuzów, nie tych z 1823 roku, ale za tych innych…

– Wiem już. Mówicie o wojnie o niepodległość.

– Hej, to pana jeszcze na świecie nie było.

– A nie było.

– Hm, to pewnie było w książce, którą pan czytał. Ale książki milczą o większej części wojen. Piszą tylko to, co im bardziej odpowiada. A ludzie w to ślepo wierzą. To widać. Trzeba mieć siedemdziesiątkę na karku, jak ja na św. Jana, by coś o tym wiedzieć. Więc ten Polak służył u Napoleona. U tego łotra, co już umarł. Bo dziś, jak mówi ksiądz proboszcz, jest drugi. Ale myślę, że ten do nas nie przyjdzie. A co pan myśli?

– Cóż ja mogę wam powiedzieć?

– Prawda. Jeszcze o tych rzeczach pan nie studiował. Ksiądz proboszcz, który jest uczonym człowiekiem wie, kiedy skończą się Mamelucy na Wschodzie i kiedy przyjdą do Gador Rosjanie i Moskale, by nam zabrać konstytucję… Ale wtedy już mnie nie będzie… Wracam więc do mojej historii o Polaku.

– Kiedy ci, co z nim uciekali, cofnęli się do Almerii, biedak zachorował i pozostał w Fiñana. Jak się dowiedziałem później, miał gorączkę… Z litości zaopiekowała się nim jedna staruszka, nie zważając na to, że był nieprzyjacielem. (Pewnie od dawna już cieszy się rajem za swój dobry uczynek). Mimo, że to ją hańbiło, strzegła go ukrytego w swojej norze niedaleko od Alcazaby.

Do niej zaszli wracający do swojego batalionu dwaj żołnierze

hiszpańscy. Chcieli przypalić papierosa od lampy w owej samotnej sadybie i znaleźli nieszczęsnego Polaka. Leżał w kącie i w gorączce wymawiał jakieś słowa w swoim języku.

– Zaprowadzimy go do naszego dowódcy – rzekli do siebie Hiszpanie – jutro tego łajdaka rozstrzelają, a dla nas posadka murowana.

Iwa, bo tak się Polak nazywał, jak mi później mówiła staruszka, chorował od sześciu miesięcy na febrę i bardzo był osłabiony, a wychudzony jak suchotnik.

Poczciwa niewiasta płakała i błagała ich tłumacząc, że cudzoziemiec nie może maszerować, że po pół godzinie padnie.

Tyle wskórała, że dostała kije za brak patriotyzmu. Nie mogę po dziś dzień tego słowa zapomnieć, choć go nigdy przedtem nie słyszałem.

Co do Polaka, to niech pan sobie wyobrazi: leżał powalony gorączką, a pojedyncze słowa, które wychodziły z jego ust, na wpół polskie i na wpół hiszpańskie, wywoływały śmiech u obu żołnierzy.

– Stul pysk, didon, psie, katanie! – krzyczeli na niego.

Potem siłą wyciągnęli go z łóżka.

– Nie będę pana zanudzał opowiadaniem. W takim stanie, na wpół nagi, maszerował pięć mil. Pięć mil, panie! Wie pan, ile to kroków pięć mil? To przecież z Fiñana aż do tego miejsca. Jeszcze pieszo i boso! Niech pan pomyśli: człowiek delikatny, przystojny młodzian i biały jak niewiasta, chory od sześciu miesięcy i w gorączce.

– Jakże to mógł znieść?

– Ha. Nie mógł!

– Ale w jaki sposób uszedł pięć mil?

– No jak? Przy pomocy bagnetów.

– Mówcie dalej, dziadku, mówcie.

– Ja szedłem tym wąwozem, jak zawsze, żeby sobie skrócić drogę, a oni szli tam górą. Przystanąłem w tym oto miejscu, aby zobaczyć koniec tej sceny, pociągając czarnego cygara otrzymanego w kopalni. Iwa dyszał jak pies, zanim dostanie ataku wścieklizny. Szedł z odkrytą głową, żółty jak odgrzebany trup, z dwiema różami-rumieńcami na policzkach, o oczach płonących, lecz zapadłych – niby Chrystus na drodze boleści.

– Mnie chcieć umrzeć. Zabić mnie na Boga – jęczał cudzoziemiec skrzyżowawszy ręce.

– Hiszpanie śmiali się z owych dziwactw i przezywali go Francuzem, didonem i innymi jeszcze obelgami.

Ugięły się w końcu nogi pod Iwą i runął jak długi na ziemię.

Odetchnąłem myśląc, że biedak oddał ducha Bogu.

Ale podniósł się, gdy go pchnęli bagnetem w ramię.

Zbliżył się wówczas na skraj doliny, by się w nią rzucić i umrzeć.

Żołnierze powstrzymując go, bo nie chcieli, by im jeniec umarł, dostrzegli mnie z mułem, jak powiedziałem, obładowanym solanką.

– Ej, kolego – krzyknęli na mnie celując we mnie z karabinu. – Przyprowadź no tutaj na górę twojego muła.

Usłuchałem bez ociągania się myśląc, że pomogę cudzoziemcowi.

– Dokąd pan jedzie? – spytali, kiedy stanąłem na górze.

– Do Almerii – odpowiedziałem. – A to co panowie robicie, jest

nieludzkie.

– Tylko bez kazań! – ryknął jeden z oprawców.

– Sfrancuziały mulnik – rzekł drugi.

– Jeszcze raz otworzysz gębę, to zobaczysz, co się z tobą stanie.

Kolba karabinu uderzyła mnie w pierś.

Był to pierwszy przypadek, by mnie ktoś oprócz ojca uderzył.

– Nie drażnić, nie przeszkadzać – zawołał Polak siadając u moich nóg, bo znów upadł na ziemię.

– Zrzuć tę solankę – rozkazali mi żołnierze.

– Po co?’

– Żeby tego Żyda na muła wsadzić.

– A, to co innego. Zrobię to z wielką przyjemnością.

Powiedziawszy to, zacząłem ładowywać.

– Nie, nie, nie! – zawołał Iwa – Ty zostawić, by mnie zabili.

– Nieszczęśniku, nie chcę żeby cię zabili – zawołałem chwytając za rozpalone ręce młodego.

– Ale mnie chcieć. Ty na litość boską mnie zabić.

– Chcesz, bym cię zabił?

– Tak, tak, dobry człowieku. Ja dużo wycierpieć.

Łzy stanęły mi w oczach.

Przemówiłem do żołnierzy tonem zdolnym poruszyć głazy.

– Hiszpanie, rodacy, bracia. Błaga was Hiszpan jak wy, którzy ojczyznę kocha jak tylko kochać ją można. Zostawcie mnie samego z tym człowiekiem.

– A nie mówiłem, że to jest kolaborant! – zawołał jeden z nich.

– Diabelski poganiaczu! – rzekł drugi – uważaj na to, co mówisz. Bacz, bym ci łba nie rozwalił.'

– Żołdaku szatański! – odparłem z tą sama mocą. – Nie boję się śmierci. Jesteście łotry bez serca. Dwóch silnych i uzbrojonych chłopów na jednego bezbronnego, co umiera. Tchórze jesteście. Dajcie mi karabin, a będę się z wami bił, aż was pozabijam albo

sam zginę. Ale zostawcie tego chorego biedaka, który bronić się nie może. Ach – ciągnąłem dalej widząc, że jeden ze zbójców się zarumienił – gdybyście mieli dzieci, jak ja, gdybyście pomyśleli, że może jutro znajdą się w ojczyźnie tego nieszczęśliwca, w tym samym położeniu, co on, same, umierające, z dala od rodziców. Gdybyście pomyśleli, że ten Polak może nawet nie wie, co tu robi w Hiszpanii. Może zabrano go od rodziny do wojska, by służył ambicji jakiegoś króla, Do krocset, wy byście mu przebaczyli, bo najpierw jesteście ludźmi, a potem dopiero Hiszpanami, a ten Polak jest także człowiekiem i waszym bratem. Co Hiszpania zyska przez śmierć chorego na febrę? Bijcie się do ostatka z wszystkimi grenadierami Napoleona, ale na polu bitwy. A słabych oszczędzajcie. Wspaniałomyślni dla pokonanych, chrześcijanami bądźcie, a nie katami!'

– Dość tych litanii' – warknął ten, co przewodził w okrucieństwach i zmuszał Iwę pchnięciami bagnetu do maszerowania, ten, co za cenę jego trupa chciał sobie kupić posadę.

– Co zrobimy, kompanie? – pytał drugi na wpół wzruszony moimi słowami.

– To bardzo proste – odparł pierwszy. – Patrz!

I wystrzelił w serce Polaka, nie dając mi czasu, nie mówię, by

temu zapobiec, ale nawet by mu przeszkodzić.

Iwo spojrzał na mnie tkliwie, nie wiem, czy przed śmiercią, czy już po śmierci.

Owo spojrzenie obiecało mi niebo, gdzie już chyba był ten męczennik.

Zabójca cudzoziemca odciął mu ucho i schował do kieszeni.

Było ono kredencjałem posady, której pragnął,

Potem rozebrał Iwę i obrabował nawet z medalika z wizerunkiem kobiety czy Świętej, który Polak nosił na szyi.

Następnie oddalił się w kierunku Almerii.

Pogrzebałem Iwę w tej dolince, tutaj, gdzie pan siedzi i zawróciłem do Gergal, bo poczułem się chory.

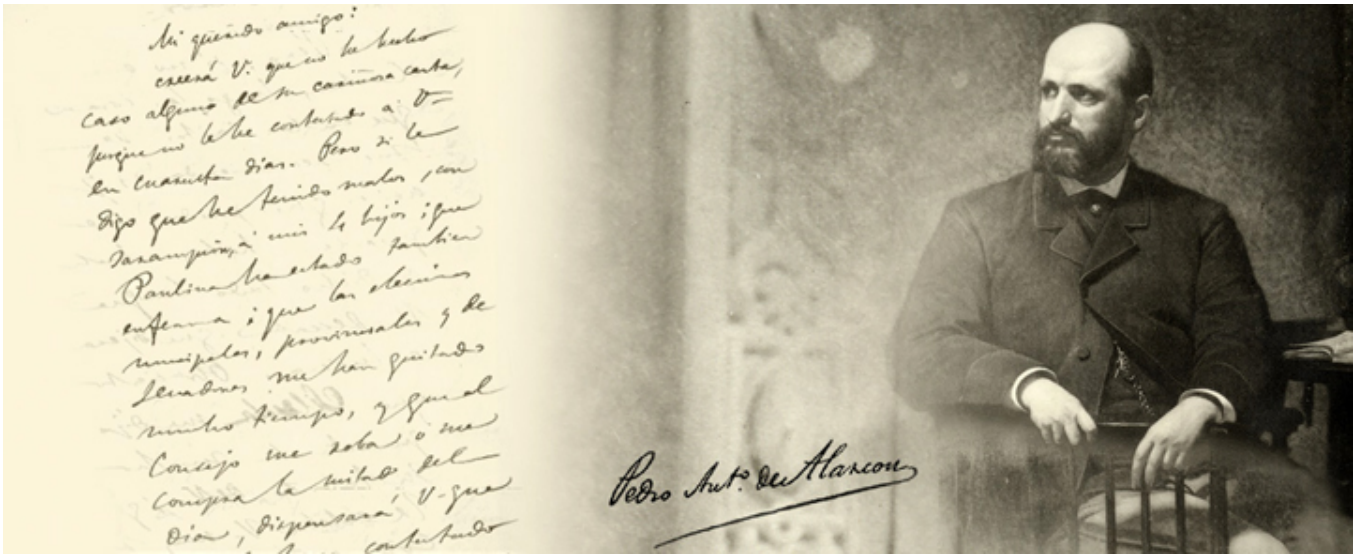
Istotnie, wydarzenie przyprawiło mnie o ciężką chorobę, która mnie nieomal uśmierciła.

– I nie spotkaliście tych żołnierzy więcej?

– Nie, ale z opisu, który mi dała później staruszka, dowiedziałem

się, że jeden z Hiszpanów nosił przezwisko Risas i że to był ten, który biednego cudzoziemca zabił i obrabował.

Gdyśmy tak rozmawiali, nadjechał wóz. Staruszek i ja weszliśmy na gościniec, uścisnęli sobie ręce i pożegnali się radzi z siebie. Obaj mieliśmy łzy w oczach.



Pedro Antonio de Alarcón (1833-1891).

***

Trzy dni później w eleganckim kasynie w Almerii piłem kawę w towarzystwie kilku przyjaciół.

Niedaleko przy innym stoliku siedziało dwu starych,

emerytowanych wojskowych. Ktoś, kto ich znał, objaśnił, że jeden z nich był majorem, a drugi pułkownikiem.

Mówili głośno, jak to ludzie przywykli do rozkazywania, tak że niechcący słyszeliśmy ich rozmowę.

Wnet uderzył mnie i przykuł moją uwagę zwrot pułkownika:

– Biedny Risas!

– Risas? – rzekłem do siebie. i zacząłem słuchać uważnie.

– Biedy Risas – ciągnął pułkownik – został wzięty do niewoli przez Francuzów, kiedy zdobyli Malagę. Wędrując z obozu do obozu znalazł się ni mniej, ni więcej tylko w Szwecji, gdzie przebywałem ja i ci wszyscy, którym nie udało się uciec z markizem de la Romana. Tam go poznałem, bo był znajomym Juana, który mi służył przez całe życie, czy raczej w czasie całej służby wojskowej. Tego Risasa wziąłem za ordynansa, kiedy Napoleon z całą bezwzględnością posłał do Rosji wszystkich jeńców hiszpańskich w składzie swojej wielkiej armii. Wtedy zauważyłem, że mój ordynans boi się panicznie Polaków, czy też czuje jakiś zabobobonny strach przed Polską. Ciągle pytał się Juana i mnie: „czy musimy iść przez ten kraj, by się dostać do Rosji?” Bardzo był zdumiony, że trzeba było. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że człowiek ten, nadużywający alkoholu, ale żołnierz

dobry i znośny kucharz, musiał mieć jakąś sprawę z Polakiem, albo podczas wojny w Hiszpanii, albo w czasie swej długiej wędrówki przez inne kraje. Po przybyciu do Warszawy zatrzymaliśmy się tam na kilka dni. Nieopisany strach, jaki ogarnął Risasa, gdy stanęliśmy na polskiej ziemi, przyprawił go o ciężkie zapalenie mózgu. Ponieważ polubiłem go, nie chciałem go zostawić samego. Kiedy przyszedł rozkaz wymarszu, postarałem się w moim dowództwie, żeby zezwolono Juanowi na pozostanie przy nim w Warszawie. Miał on niezwłocznie po przesileniu się choroby puścić się za mną z jakimś taborem ze sprzętem czy żywnością. Ciągnęło ich bowiem mnóstwo z chmarą ludzi, w której jako straż przednia szedł mój pułk. Jakież było moje zdziwienie, kiedy jeszcze tego samego dnia, po kilku zaledwie godzinach marszu, zjawił się mój stary ordynans przerażony wielce i opowiedział o tym, co się stało z Risasem. Słuchaj pan, a zobaczysz, czy warto było pamiętać to czterdzieści trzy lata. Juan znalazł dla Risasa dogodne miejsce u pewnej kobiety ze wsi, wdowy, która miała trzy dorosłe córki. Z chwilą przybycia Hiszpanów do Warszawy pytała wszystkich bez końca przez francuskich tłumaczy, czy nie wiedzieli czego o jej synu Iwie. W 1808 roku poszedł on na wojnę do Hiszpanii i od trzech lat nie miała od niego żadnej wiadomości, co nie zdarzało się innym rodzinom będącym w podobnej sytuacji. Ponieważ Juan umiał schlebiać, znalazł wnet sposób, by smutną matkę pocieszyć i przepoić nadzieją. Podjęła się za to opiekować się Risasem, który w jej obecności zaatakowany chorobą zwalił się na ziemię.

Kiedy przybyli do domu poczciwej niewiasty, a ona pomagała rozebrać chorego, Juan zauważył, jak zbladła i kurczowo uchwyciła srebrny medalion z miniaturowym wizerunkiem czy portretem. Risas zawsze go nosił na piersi pod ubraniem jako talizman czy amulet przeciwko Polakom, myśląc, że wyobrażał on Matkę Boską lub jakąś Świętą tego kraju.

– Iwa, Iwa! – zawyła strasznie wdowa, szarpiąc chorego, który będąc w gorączce, wcale nie reagował.

– Przybiegły na to córki, i w lot pojęły, o co chodziło. Wzięły medalion i przyłożywszy go do twarzy matki znakami dawały Juanowi do zrozumienia, że ów portret był podobizną tej kobiety. Gdy jego rodak nie potrafił odpowiedzieć na pytania, zaczęły, patrząc mu w oczy, w niezrozumiałych słowach, gestach i pozach łatwo zdradzających hamowaną wściekłość, wypytywać go o tysiące różnych rzeczy. Juan rozłożył ramiona na znak, że nic nie wie o pochodzeniu tego portretu. Risasa znał tylko krótko. Poczciwa twarz mojego zacnego ordynansa musiała przekonać owe cztery rozwścieczone lwice o jego niewinności. Zresztą to nie on nosił medalion! Ale ten drugi! Tego drugiego, nieszczęsnego Risasa zabiły pięściami i rozdrapały pazurami. To wszystko, co o tym wiem. Nie udało mi się nigdy dociec, dlaczego Risas posiadał ten portret.

– Za pozwoleniem, opowiem panu – odezwałem się, nie mogąc

dłużej już milczeć.

Podszedłem do stołu pułkownika i majora, którym mnie moi przyjaciele przedstawili. Następnie wszystkim im opowiedziałem straszną historię górnika.

Kiedy skończyłem, major, mężczyzna przeszło siedemdziesięcioletni, z prostą wiarą starego żołnierza, z wybuchowością prawdziwego Hiszpana i z całą powagą swych siwych włosów, zawołał:

Na Boga, panowie, w tym wszystkim jest coś więcej niż tylko przypadek!

A. de Alarcón, P. Baroja, M. Cervantes, Losy Polaków: trzy opowiadania hiszpańskie, przełożył Florian Śmieja, Silican House, Missisauga, 2003.

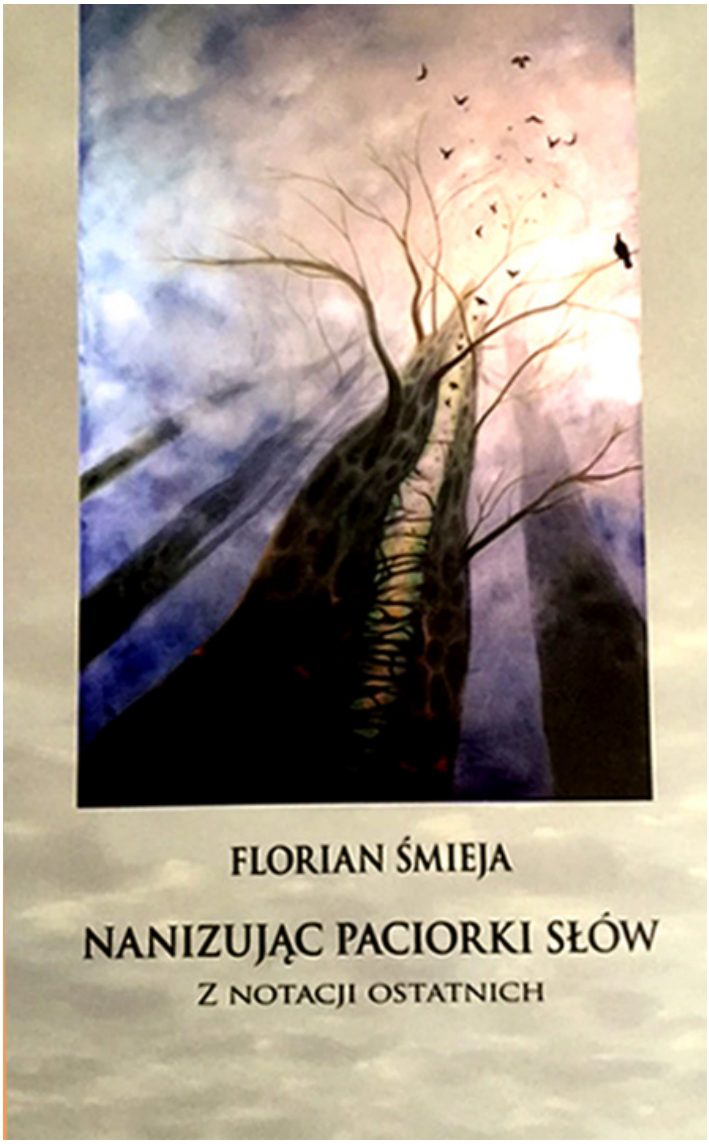
M. Cervantes, Opowiadanie Polaka (w:) Losy Polaków, tłum. Florian Śmieja na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/opowiadanie-polaka/

Nanizując paciorki słów

Z radością informujemy, że właśnie ukazał się najnowszy tomik wierszy Floriana Śmieji, wydany przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie i Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza” z Rzeszowa. Jako ilustracje wykorzystano surrealistyczne obrazy Iwony Dufaj z Toronto.

Redakcja



FLORIAN ŚMIEJA

NANIZUJĄC PACIORKI SŁÓW

Z NOTACJI OSTATNICH

FLORIAN ŚMIEJA

NANIZUJĄC PACIORKI SŁÓW

Z NOTACJI OSTATNICH

Wstęp, wybór wierszy oraz redakcja tomu
Edward Zyman



POLSKI FUNDUSZ WYDAWNICZY W KANADZIE
STOWARZYSZENIE LITERACKO-ARTYSTYCZNE „FRAZA"
TORONTO-RZESZÓW 2018

Florian Śmieja

WĄTPLIWOŚCI

Nanizując paciorki słów, notuję
drobne doświadczenia egzystencjalne.
Czy nasyciłem te wersy substancją
przekonywającą, skuteczną a nie
pozorną i zupełnie przypadkową,
głoszącą wybawienie, katastrofy
unikając oraz wyobcowania,
inteligentną zabawę, coś więcej
niż kuglarstwo i zachcianka poety,
którego mocno zawiodło natchnienie?

BYŁ CZAS

Był czas budowy teraz likwidacja,
wspominam powstawanie fundamentów,
potem rosły mury, cegła po cegle
aż doszły do szczytu i dach je przykrył.
Te chwile wzrostu napawały dumą,
uzasadnioną nadzieją postępu
nagrodzonego wysiłku, przyszłości
godziwej i zasłużonej, nagrody
za nieprzespane noce i dni znoju
w pocie czoła spędzone, wyczekiwanie
zbliżającej się mety wytyczonej
w górnych marzeniach witalnej młodości;
pozostaje pamięć dokonanej
wtedy właściwej inwestycji czasu.

CHÓR WIEKÓW

Patrzę jak pustoszeją półki książek
zbieranych cierpliwie przez całe życie.
Teraz jest ważne, by je oddać w godne
ręce ludzi, którzy docenią skarby
zgromadzone z wielką ufnością, wiarą
w znaczne profity, bo duchowe zyski
użytkowników, czułych bibliofilów,
skrupulatnych badaczy, sejsmografów
tak wyczulonych na wzruszenie serca,
że wychwycą każdy ton chóru wieków.



Iwona Dufaj, Look Up, olej na płótnie, wielowarstwowy polerowany gips wenecki, 30″ x 40″.



Iwona Dufaj, Edge of Sanity, wielowarstwowy polerowany gips wenecki, 30″ x 40″.

ŁATWE SUKCESY

Kiedy się osiągnie respektowany
wiek, no, powiedzmy lat dziewięćdziesięciu,
wtedy o sukces nie trudno, napiszesz
wierszyk i już się cieszysz lub nawleczesz
nitkę do igły i sokoolookim
zostaniesz obwołany a jeżeli
sam tysiąc mil samochodem przemierzysz
po górskich serpentynach, toś fenomen
i niewyżyty automobilista.

PORAŻKI

Nie zrażaj się porażkami, hartują
i bądź z nimi za pan brat od dzieciństwa.
Niech staną się w życiu ostrogą, trudnym
doświadczeniem twoich możliwości,
lotem ponad przeszkodami istnienia,
wstawaniem z kolan po każdym upadku,
ustawicznym dążeniem, ofensywą,
wysiłkiem, niespuszczaniem oka z celu.

WIANO POLKI

Moja szlachcianka z kresów herbu Ciołek
przez wiejskie dzieci wrzucona w pokrzywy
zachowała wielką pogodę ducha.
Chociaż majątek nad Horyniem przepadł.
to wiano jej jest nie do pogardzenia:
niepospolita skromność i lojalność,
ślub z asystą Aleksandry Piłsudskiej,
w Rzymie tryumf Zygmunta Felińskiego,
brata prababki jej, Zofii, i pamięć
wuja zamordowanego w Katyniu.



Ilona Dufaj, Gallivant, 12″x24″x2.625″.



Iwona Dufaj, Spring Break,
12″x24″x2.625″.



Iwona Dufaj, Emigration, 12″x24″x2.625″.

ZAPOMINANIE

Zbyt często narzekałem niedorzecznie
na zapominanie, zwąc je nieszczęściem,
niedobrą przypadłością, obciążeniem.
Ale teraz dostrzegam dobre strony:
błogosławione znieczulenie czasu
litującego się nad przypadkami
proszącymi o szybkie zapomnienie,
możliwość napisania nowej karty,
nawrócenia na właściwy kierunek,
obrania wreszcie godziwego celu.

NIEDOCZEKANIE

Wiosna, której już nie doczekam będzie
szczególnej krasy i wielkiej urody:
językowi zabraknie przymiotników
by ją zachwalić naprawdę sprawiedliwie.
Żeby jej kolorom dać satysfakcję
wszystkim malarzom nie starczy palety,
trudno mi będzie wyobrazić sobie
równie wyborną porę roku od tej
niezwykłej wiosny, której nie zobaczę.

Florian Śmieja po wydaniu kilkunastu tomów poezji, po raz kolejny podejmuje próbę poetyckiego zapisania życia. W tomie najnowszym nie stara się być rewelatorem formy, co znajduje uzasadnienie w jego dotychczasowej technice twórczej. (…) Nie poetycki kunszt przekazu jest tedy dla niego najważniejszy lecz troska o jego zawartość. Wątpliwości poety nie są figurą stylistyczną. Czytając tom „Nanizując paciorki słów" mamy wszelkie dane by wierzyć, że wypływają one z najgłębszej troski o szczerość i autentyczność relacji ze światem, z innymi ludźmi, a także – może najbardziej – z samym sobą.

Edward Zyman, fragment wstępu „Zapisać życie".

Florian Śmieja, Nanizując paciorki słów, redakcja Edward Zyman, projekt okładki Joanna Dąbrowska, redakcja techniczna Yarek Dąbrowski, wyd. Polski Fundusz wydawniczy w Kanadzie, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza", Toronto-Rzeszów 2018 r.

Iwona Dufaj na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/surrealistyczne-malarstwo--iwony-dufaj/

W drodze na Adres



Barbara Gruszka-Zych (z lewej) i Monica Tranströmer (z prawej), fot. Henryk Przondziono.

Barbara Gruszka-Zych

Sztokholm, gdzie żył i umarł Tomas Tranströmer, laureat

literackiego Nobla 2011, wznosi się na skale. Rozmowa z jego żoną Monicą też. Tą skałą jest jej miłość do męża i jego wierszy.

Nie ukrywa wzruszenia, kiedy pokazuje nam noblowski medal, który mąż dostał w 2011 r. – Uwielbiam wiersze Tomasa i wiem, że na niego zasłużył – mówi. Przywołuje też moment z 1990 r., kiedy po udarze uczył się pisać lewą, sprawną ręką. – Nie wiedziałam, jak ukryć wzruszenie, widząc, z jakim trudem stawia literę za literą. Jak 6-letni chłopczyk, któremu w końcu wychodzą jakieś bazgroły. Miał wtedy 59 lat i duży dorobek. Męczył się, a ja widziałam, że to tylko dwa, trzy zdania. Bałam się, czy mają jakiś sens, ale podczas lektury okazywało się, że to bardzo dobrze zapisane błyski, niesamowite olśnienia.

Te małe momenty były prawdziwym cudem w ich życiu. – Bez słów nie można kłamać – mówi Monica, przypominając o próbie prawdy, jaką przeszedł ich związek, kiedy Tomas przestał mówić. Pisząc wiersz „7 marca 1979”, jakby przeczuwał czekające go milczenie:

> Dość mając wszystkich, którzy przychodzą ze słowami,
>
> ze słowami, ale nie mówiąc nic,

> wyjechałem na zaśnieżoną wyspę.
>
> Pustkowie nie zna słów.
>
> Niezapisane stronice ciągną się na wszystkie strony!
>
> Natrafiam na ślady sarnich kopytek w śniegu.
>
> Mowa, choć żadnych słów (tłum. Czesław Miłosz).

Most

„Tomas” to najczęściej powtarzane słowo podczas tego spotkania.

> Pogrzebów przybywa
>
> coraz gęściej i gęściej
>
> jak znaków drogowych (…) Z wolna
>
> buduje się most prosto w kosmos (tłum. Leonard Neuger)

napisał w wierszu „Sypie śnieg”. Jego żona, zapraszając nas na rozmowę, dopuszcza, żebyśmy stali się budowniczymi tego mostu. Wchodzimy do mieszkania, do którego przeprowadzili się 17 lat temu. Wtedy, już na wózku, po raz pierwszy wjechał tu jej mąż. Z okien czwartego piętra zabytkowej kamienicy widać jezioro Saltsjö, z wodami słonymi jak łzy, oddzielone śluzą od słodkiego Mälaren. Pełno tu światła – na podłodze, białych ścianach i w bladych płatkach hortensji. Tomas nie doczekał lata, kiedy jest najwięcej światła w roku. – Tak bardzo chciał latem pojechać na naszą ukochaną wyspę Runmarö z niebieskim domem dziadka – mówi Monica. – Zmarł 26 marca 2015 r.

– Bał się śmierci? – pytam. – Bardzo – nie ma wątpliwości. – A jednak był dzielny. Kiedy przez ostatnie miesiące ubywało mu sił, pytałam: „Jak długo jeszcze damy radę?”. Odpowiadał gestem lewej ręki. Monica pokazuje, jak zbliżał do siebie kciuk i palec wskazujący, między którymi tworzyła się odrobina przestrzeni. Znaczyło to: „Jeszcze trochę”.

Zwykle budził się wcześnie rano. Monica prosiła, żeby trochę poczekał i dał jej pospać. O wpół do siódmej wstawali, włączała radio, żeby posłuchał najświeższych wiadomości. Podawała śniadanie na białym owalnym stole w kuchni. Jadł je też z nimi Carl Helmer Westerberg, dziadek Tomasa ze strony mamy. To o nim napisał, że jest jego starszym o 71 lat przyjacielem. Portret dziadka do dziś wisi na centralnej ścianie kuchni, sąsiadując z

drewnianym malowanym zegarem z datą 1805, również pochodzącym z rodzinnego domu poety. – Tak hałasuje, że go nie nakręcam – mówi Monica. Po śniadaniu było głośne czytanie gazet, książek, gra na fortepianie. Oczywiście cały czas dzwonił telefon.

W pokoju Tomasa wszystko jak za życia. Tylko już ponad dwa lata nikt nie otwierał leżących na fortepianie nut Bacha i Brahmsa do grania lewą ręką.



Medal noblowski, który Tomas Tranströmer dostał w 2011 r., fot. Henryk Przondziono.



Monica Tranströmer z fotografią męża, fot. Henryk Przondziono.

Śnieg

Pierwszą książką, jaką jej polecił, był „Zniewolony umysł” Czesława Miłosza. Kiedy się poznali, miała 17 lat, on był o 9 lat starszy. Należała do grupy młodych interesujących się literaturą. On, już po debiucie, miał na koncie trochę wierszy. Po ich lekturze stwierdziła, że czytała lepsze. Był lubiany przez kolegów, wesoły, zdolny, przystojny i – widziała to – miał talent. Po szkole zaczęła pracować w księgarni. On, po psychologii, którą studiował równolegle z historią literatury i religii, został asystentem w Centrum Psychologii w Sztokholmie. Uczył się też

gry na fortepianie i organach.

Monica: – Pierwszy raz spotkaliśmy się w 1957 r. Bardzo szybko zostaliśmy parą. Rok później byliśmy już małżeństwem. To taka ekspresowa miłość. W wierszu „C-dur” zapisał:

> Kiedy po spotkaniu z nią wyszedł na ulicę
>
> wirował w powietrzu śnieg. (…)
>
> wszyscy uśmiechali się za postawionymi kołnierzami.
>
> Ale swoboda!
>
> I wszystkie znaki zapytania poczęły śpiewać o istnieniu Boga.

Niedawno znalazła jego notatki z młodości z zapisanym odkryciem, że miłość erotyczna i sztuka nie są wrogami religii, ale próbują odsłonić rąbek tajemnicy. To był czas, kiedy w szkole średniej, dzięki nauczycielowi religii i filozofii Göscie Kellermanowi, zbliżył się do Boga.

Monica: – Rodzice Tomasa rozwiedli się, kiedy miał trzy lata. Ojciec zniknął z jego życia. Wychowała go kochająca mama Helmy, wierząca, ale nie praktykująca protestantka. Kiedy

skończył 12 lat, miał przystąpić do konfirmacji. Ale jako jedyny w grupie powiedział pastorowi, że nie chce tego, a mama zaakceptowała jego decyzję. Już jako 17-latek wierzył, ale jeszcze nie chodził do kościoła. Dopiero w latach 70. zaczął regularnie uczestniczyć w nabożeństwach. Czuł się dobrze blisko Boga w cichej przestrzeni kościoła.

Anioł bez twarzy

Dwa lata po ślubie przeprowadzili się ze Sztokholmu do Linköping. Tomas dostał tam posadę psychologa w poprawczaku. Dzięki jego metodom terapii aż 30 proc. osadzonych wracało do normalnego życia. Po latach zdarzało się, że późnym wieczorem odbierała telefony od wychowanków męża. Kiedyś zadzwonił ktoś mocno pijany. Mówił, że pan Tomas obiecał, że po 50 latach będą wspólnie czytać listy, które pisali do niego, wyobrażając sobie, co będą robić, gdy wyjdą na wolność. „Minęły dopiero 32 lata, nie chcę dłużej czekać". Widać było, że się stęsknił.

Mówiono, że jest najbardziej roztargnionym psychologiem na świecie. Na zdjęciu przed domkiem na wyspie Runmarö widać, jak siedzi i czyta, a na wygaszonym grillu leży jego czarny kapelusz.

Monica: – To bardzo typowe dla niego. Gdzie było wolne miejsce, tam kładł swoje rzeczy.

W Linköping urodziły się im córki Emma i Paula.

Monica: – Tomas szybko zrozumiał, że psychologia nie rozwiąże wszystkich problemów. Stracił naiwność, kiedy pracował z młodymi przestępcami, ale wiarę w człowieka zachował do końca.

> (…) Objął mnie anioł bez twarzy i zaszeptał przez całe ciało:
>
> „Nie wstydź się tego, że jesteś człowiekiem, bądź dumny!
>
> W twoim wnętrzu otwiera się sklepienie za sklepieniem bez końca”

– napisał w wierszu „Łuki romańskie”. Potem przenieśli się do Västerås, gdzie na pół etatu pracował z trudną młodzieżą z rodzin bezrobotnych i pisał. Jego wiersze doceniono już wtedy w USA. Spopularyzował je tam poeta Robert Bly. Monica zaczęła studiować pielęgniarstwo.



Strona tytułowa tomiku poezji Tomasa Tranströmera z jego autografem, biblioteka Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

W środku krzyża

Czas przed udarem Tomas miał napięty do granic ludzkich możliwości. Pracował na pół etatu jako psycholog, ale też w komisji nowego tłumaczenia Biblii, podróżował po świecie zapraszany na spotkania autorskie.

Monica: – Poeci potrafią wiele rzeczy robić naraz, ale wtedy Tomas przekroczył najwyższy poziom stresu. Poważnie się obawiałam, że dostanie zawału. Nie myślałam, że to będzie udar,

bo zwykle powala starych, a Tomas nie był stary. Tego dnia miał jechać z Västerås do Sztokholmu, ale bolała go głowa, skarżył się na podwójne widzenie. Poszedł do łazienki, upadł, przytomność odzyskał w szpitalu. Był przeziębiony i to sprawiło, że rokowania były złe. Stracił mowę, miał niedowład prawej strony ciała.

Monica: – Nawet wtedy zachował humor. Nie mógł wymówić słowa, a przedtem cały czas mówił. „Teraz jestem wolny" – dawał do zrozumienia.

Przez 6 tygodni pobytu w szpitalu odchodziła od niego tylko po to, żeby od 9.00 do 10.00 rano odbierać w domu telefony i informować bliskich o stanie jego zdrowia.

Monica: – Trochę mi żal, że w tamtym okresie byłam nieobecna jako matka. Oddałam się na wyłączność mężowi. Córki miały już po 20 lat, ale też mnie potrzebowały. Zupełnie zapomniałam o sobie. Liczył się tylko Tomas. To było naturalne, bo przyszła wielka katastrofa i trzeba było wszystkie siły skierować na to, żeby się z niej podnieść. Radzono jej, żeby przeszła na pół etatu, a po godzinach zajmowała się mężem. Zdecydowali, że będą walczyć razem, dlatego zrezygnowała z pracy. To był czas, jak napisał w wierszu „Na wolne powietrze", kiedy nie tylko na ułamek sekundy znajdowali się „w środku krzyża".



Barbara Gruszka-Zych w domu państwa Tranströmerów, fot. Henryk Przondziono.

Fortepian

Dla Moniki udar męża był szokiem. Nie wiedziała, czy za jakiś czas nie uderzy ze zdwojoną siłą. Żeby nie ulegać rozpaczy, koncentrowała się na teraźniejszości.

Monica: – Artyści wielkiego formatu, jak Tomas, mają wielkie siły do walki.

– A skąd Pani czerpała siłę? – pytam. – Nie było trudno ją mieć. Tomas nie cierpiał na depresję, miał ogromną ochotę do życia, planował, był nadal twórczy. Poza tym moja dotychczasowa

praca pielęgniarki była męcząca i poczułam ulgę, że mogę być tylko z nim. Pół roku przed udarem kupili fortepian, bo tęsknił za graniem. W ramach rehabilitacji nie tylko próbowali stawiać go do pionu, uczyli czytać, ale i grać.

Monica: – Terapeuci uważają, że rehabilitując, trzeba skupić się na tym, co sprawia choremu największe trudności. Kiedy znaleźliśmy się na początku drogi, zdecydowaliśmy się doskonalić to, co umiał najlepiej – głośne czytanie i grę na fortepianie.

Po udarze właściwie sylabizował słowo za słowem. Wtedy zaczęła mu głośno czytać po kilka godzin dziennie. Wybierali lektury, które były interesujące także dla niej, żeby się nie nudziła – „Idiotę" Dostojewskiego, „Klub Pickwicka" Dickensa.

Monica: – To nie było tylko zwyczajne siedzenie obok siebie w fotelach. Ogarniało nas wtedy niespotykane dotąd uczucie bliskości. Może z tej opowieści wynika, że żyliśmy w idealnej harmonii. Zdarzały nam się jednak też momenty frustracji, nieporozumień, zniecierpliwienia – zastrzega się. – Szybko zrozumieliśmy, że to do niczego nie prowadzi. Jest zadowolona, że to ona czuwała przy nim, a nie profesjonalny opiekun: – Prędzej czy później byłby znudzony opieką nad Tomasem i przestałby słuchać, co mówi. Ona zawsze była na niego uważna.

Kości

Przez 30 lat przed chorobą byli ze sobą tak blisko, że rozumieli się bez słów. Kiedy jedno zaczynało mówić, drugie wiedziało, jak skończyć. To się przydało, kiedy metodą prób i błędów uczyła się zgadywać, co mąż ma na myśli. Gdy wydawał niezrozumiałe dźwięki, domyślała się, co chce przekazać. Czuła, że mówi nie to, co powiedziałby ze swoją erudycją, ale akceptował prawie wszystko. Chętnie dawał wywiady, a wtedy ona była jego głosem. Jakby uprzedził to doświadczenie, pisząc w „Artyście na Północy”:

> Pola bitewne w nas
>
> gdzie my, Kości Zmarłych
>
> bijemy się by ożyć.

Przed chorobą nigdy nie zaglądała do jego brudnopisów. Miała respekt do innego świata, jakim było jego pisanie. Dopiero kiedy coś skończył, mówił: „Przeczytaj, jestem gotowy”. Po udarze zapiski, pamiętniki stanęły dla niej otworem. Była asystentką,

sekretarką i pielęgniarką męża. Kiedy prosił ją o notatki sprzed 25 lat, znajdowała je i kontynuowali pracę od wybranego fragmentu. Przepisywała nowe teksty na maszynie i powtórnie robiła to po korektach. Kiedy zauważała, że brakowało mu jakiegoś słowa, uzupełniała je, a on się z tym zgadzał.

Monica: – Tomas żył 25 lat po udarze. To prawdziwy rekord. Nieustannie dawaliśmy sobie jakiś kawałek czasu, pytając: „Może jeszcze pół roku uda się nam być razem?".

– Wiem, że nie kocha się za coś – mówię. – Jednak muszę zapytać, za co kochała Pani Tomasa? Jaki był? – Nie kochałam go w części, ale w całości, jako osobę – odpowiada. – Niemożliwe jest opowiedzenie, jaki był. Ci, którzy go nie znali, nie pytają o to. Ci, którzy go znali, wiedzą. Mogę powiedzieć, że był poetą, autorem tych tomów wierszy. Przez nie prowadzi najprostsza droga do niego.



Od lewej: Jan Henric Swan – tłumacz, Barbara Gruszka-Zych i Monica Tranströmer, fot. Henryk Przondziono.

Nowe życie

Przez 25 lat prowadzili dom otwarty. Zawsze pełen gości, którzy chcieli przebywać blisko nich. Nie myślała wtedy, jak należy żyć z innymi, to wychodziło naturalnie.

Monica: – Po śmierci Tomasa dostałam nowe życie. Nigdy dotąd nie byłam sama, tylko z nim. Przedtem przyjaciele przychodzili tutaj, teraz ja muszę do nich jechać. Wraca zadowolona, ale potwornie zmęczona. Tak jakby cały wieczór mówiła w dawno nieużywanym języku. Albo musiała nasłuchiwać rozmówców z

wielką uwagą, jak ktoś głuchy, do kogo docierają strzępki słów. Teraz stara się wypracować inny kod niż ten, którym porozumiewali się z mężem. Uczy się być sama, obserwując innych samotnych, jak sobie radzą. – Trudno odpowiedzieć na pytanie: „Czy boisz się śmierci, czy wierzysz w Boga?" – mówi. – Większość z nas odpowiedziałaby: „Czasami – tak, czasami – nie".

– Ludzie, którzy czytają Pani męża, odkrywają Boga – przerywam jej. – Zgadza się, bo Tomas był głęboko wierzący – potwierdza. Otwiera na chybił trafił jego tom i czyta wiersz „Rozproszona gmina":

> Wyraziliśmy zgodę i pokazaliśmy nasze domy.
>
> Przybysz pomyślał: dobrze mieszkacie.
>
> Rudery we wnętrzu są waszym.
>
> Wewnątrz kościoła: sklepienia, kolumny
>
> białe jak gips, jak gipsowy bandaż
>
> na złamanej ręce wiary. (…) Somnanbulik Nikodem w drodze

> na Adres. Kto ma Adres?
>
> Nie wiem. Ale to tam idziemy.

– To postscriptum do naszej rozmowy – uśmiecha się.

Dziękuję Janowi Henrikowi Swahnowi za pomoc w tłumaczeniu rozmowy z języka szwedzkiego.

Artykuł ukazał się w „Gościu Niedzielnym” 22/2017.
http://gosc.pl

W 2000 roku ukazał się przepiękny film dokumentalny Bożeny Garus-Hockuby „Przedmowa do ciszy” o Monice i Tomasie Tranströmerach. Podczas zdjęć poeta był już od wielu lat częściowo sparaliżowany. Żona jest więc jego ustami i przewodnikiem w meandrach życia. Widz czuje, że małżonkowie wiedząc o sobie wszystko i obdarzając się wielką miłością, stali się jednym. W filmie pokazano, jak Tomas Tranströmer gra lewą ręką. specjalnie dla niego skomponowane utwory. Widzimy dom z dzieciństwa, albumy, wspomnienia, szkołę w której pracował poeta. O wszystkim opowiada żona, a on JEST.

Miałam okazję widzieć film w POSK-u w Londynie w 2017 roku. Na projekcji była też autorka dokumentu. Mówiła, że dotarła do poety i jego żony przez rodzinę Jastrunów – Tomasza syna Mieczysława Jastruna i jego matkę Mieczysławę Buczkównę. Tomasz Jastrun był attaché kulturalnym i dyrektorem Instytutu Polskiego w Sztokholmie i znał rodzinę Tranströmerów. Bożena Garus-Hockuba podkreślała też, jak wielka prywatność cechuje Szwedów. Na realizację filmu małżeństwo zgodziło się tylko dlatego, że film będzie pokazywany w dalekiej Polsce, a nie w Szwecji.

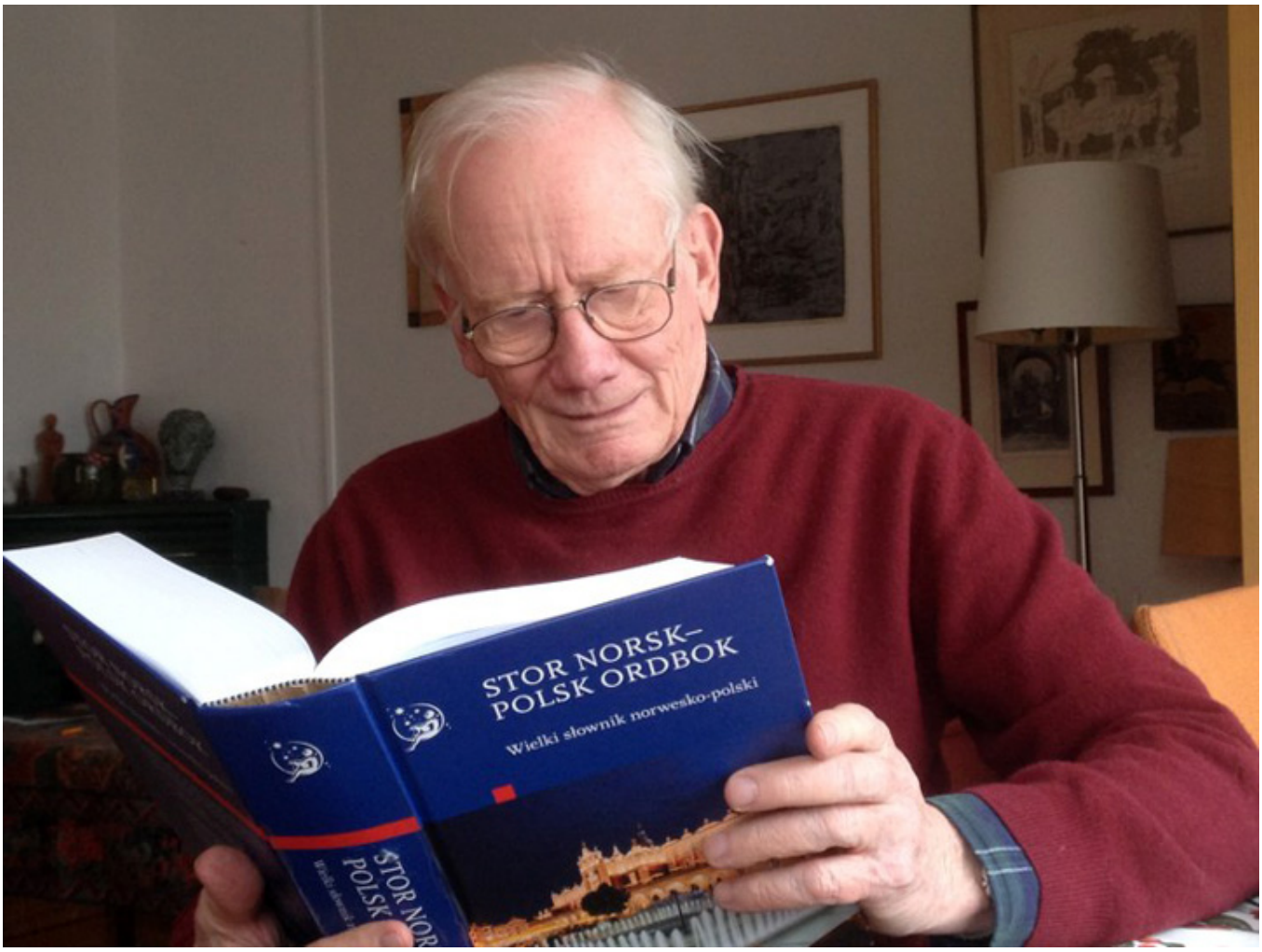
Więcej o filmie:

http://www.filmpolski.pl/fp/index.php?film=4212777

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Z miłości do języka

W ubiegłym roku ukazał się „Stor norsk-polsk ordbok” (Wielki słownik norwesko-polski) owoc ponad dwudziestoletniej pracy Ole Michaela Selberga. Jest to największy i najlepiej opracowany słownik, jaki istnieje na rynku. Każdy, kto uczy się języka norweskiego lub pragnie pogłębić swoją wiedzę na ten temat powinien go mieć.



Ole Michael Selberg, fot. Marta Tomczyk-Maryon.

Marta Tomczyk-Maryon

Zanim porozmawiamy o słowniku, chciałabym się dowiedzieć jaka była pana droga do języka polskiego? W jaki sposób rodowity Norweg stał się znakomitym tłumaczem i leksykografem?

Ole Michael Selberg

– Można powiedzieć, że moja droga do języka polskiego wiodła przez… język rosyjski. Gdy byłem w wojsku, poznałem język

rosyjski i zostałem tłumaczem wojskowym. Pierwszy kontakt z językiem polskim miałem w roku 1963, kiedy przyjechałem do Warszawy. Była wtedy tzw. zima stulecia. Wprowadziłem się do akademika na Anielewicza w Warszawie i było tam strasznie zimno, ponieważ pociągi z węglem ze Śląska utknęły po drodze.

Był pan Norwegiem marznącym w Polsce, ciekawe.

– Byłem jednak zahartowany, więc nie cierpiałem tak bardzo. Jednak ówczesna Warszawa, szczególnie zimą, wywierała przygnębiające wrażenie: chodziło się tam po mieście, gdzie strasznie wiało, szczególnie przy Pałacu Kultury. Wymagało to trochę przyzwyczajenia. Na Anielewicza mieszkałem w jednym pokoju z Bułgarem, który doktoryzował się z geografii, ale miał trochę „trudny" – jak na tamte czasy – życiorys, bo jego ojciec był popem. W pokoju obok mieszkał natomiast Peter Raina, historyk pochodzenia indyjskiego, który przeniósł się potem do Berlina Zachodniego i wydał szereg książek o polskiej historii, m.in. o kardynale Wyszyńskim. Było to dość ciekawe towarzystwo. Potem wróciłem do Norwegii i wybrałem język polski jako specjalizację. W latach 70. dużo podróżowałem do Polski jako tłumacz. Po raz pierwszy było to w 1967 r. z ówczesnym norweskim ministrem spraw zagranicznych Johnem Lyngiem. W tym czasie polskim ministrem spraw zagranicznych był Rapacki. Potem jeździłem z różnymi ministrami, towarzyszyłem również polskim politykom, którzy tu przyjeżdżali, np. Jaroszewiczowi

podczas audiencji u króla w 1977 roku.

Który z ówczesnych polskich polityków był najbardziej przystępny?

– Muszę powiedzieć, że Jaruzelski.

Nie pomyślałabym. Przejdźmy do słownika. Czym Wielki słownik norwesko-polski się wyróżnia? I co jest w nim wyjątkowego?

– Jest to słownik przygotowany w dużej mierze w oparciu o koncepcję Walerego Bierkowa. Był to wybitny leksykograf, który opracował wielki słownik rosyjsko-norweski. Pierwsze wydanie ukazało się w roku 1987 w Związku Sowieckim.

Mój słownik z założenia ma uwzględniać potrzeby obu grup użytkowników, Polaków i Norwegów. I dlatego mówi zarówno o wymowie norweskiej jak i polskiej. Większość Polaków ma trudności w rozróżnieniu tonemów norweskich. A nawet, jeśli je rozróżniają, to często nie używają ich we właściwy sposób. Jednak z drugiej strony można zrozumiale mówić po norwesku bez tej wiedzy i wielu Polaków tak robi. Uważam jednak, że warto o tym informować, choćby z tego względu, aby uświadomić, że dla Norwega jest to różnica. Słownik uwzględnia również kwestię, gdzie przebiega granica w złożeniach między

elementami złożeń, ponieważ to odgrywa rolę dla wymowy. Np. to, że *iste* (herbata mrożona) jest złożeniem składającym się z elementów *is* (lód) i *te* (herbata), sprawia, że *e* końcowe wymawia się tak jak *e* w *te*, podczas gdy w *iste* (czas przeszły od czasownika *ise*) *e* ulega osłabieniu i realizowane jest jako tak zwane szwa, czyli niewyraźne *e*. Dla Norwega różnica jest wyraźna. Inna kwestia to iloczas samogłosek. W *ledning* (przewód) *e* jest długie, a w *redning* (ratowanie, ratunek) jest krótkie i należy tej różnicy przestrzegać.

Mogę powiedzieć, że nie ma innego słownika polsko-norweskiego, który tak szczegółowo informuje o norweskiej wymowie.

Jeśli chodzi o gramatykę, to staram się obszernie informować o różnych odmianach stylistycznych. Zadbałem też o to, aby łatwo było znaleźć, to, co po angielsku nazywa się *phrasal verbs*. Oczywiście jest duże podobieństwo między językami skandynawskimi a angielskim. Na przykład przy czasowniku *slå* jest bardzo dużo czasowników frazowych. Starałem się też informować, jak należy oddać pewne norweskie konstrukcje. Na przykład, gdy mamy *tytuł powieści* lub *prezes towarzystwa* po polsku, to jak oddać te dopełniacze? Można powiedzieć *romanens tittel* i *foreningens formann*, ale można powiedzieć też *tittelen på romanen* i *formannen i foreningen*. To ostatnie jest obecnie bardziej popularne i częściej używane, mimo że takie

zastępowanie dopełniacza różnymi przyimkami raczej komplikuje język.

A co sprawia lub może sprawiać największe trudności Norwegom uczącym się języka polskiego?

– Język polski i norweski są pod wieloma względami różne. Z jednej strony język polski ma bardzo skomplikowaną morfologię, obfitującą w różne wyjątki i nieprawidłowe formy, które sprawiają oczywiście problemy norweskim studentom języka polskiego, ale z drugiej strony, kiedy prowadziłem na uniwersytecie kurs języka polskiego, to pocieszałem początkujących tym, że pod jednym względem język polski jest szalenie prosty, mianowicie pod względem wymowy. Co może zdziwić wielu ludzi, ponieważ, gdy przygląda się polskiemu językowi w postaci drukowanej wygląda on dość skomplikowanie, te wszystkie *sz, cz, rż, ż*..., głoski szeleszczące itd. Ale jeżeli student potrafi opanować reguły polskiej wymowy, to zawsze można wywnioskować jak się dane słowo wymawia. Są bardzo nieliczne odstępstwa, takie jak *marznąć*, *piętnaście*. Język polski ma idealnie prostą prozodię, bo akcent prawie zawsze spoczywa na przedostatniej sylabie. Nie ma również różnicy między głoskami długimi i krótkimi, nie ma również tonemów. I dlatego w moim słowniku w niewielkim stopniu muszę informować o polskiej wymowie.

Każdy język się rozwija: zmieniają się normy językowe, formy gramatyczne, pojawiają się nowe słowa, inne wychodzą z użycia. Zmiany języka to dylemat, przed którym staje każdy twórca słownika. Czy pański słownik uwzględnia ten nowy obraz języka?

– Pracowałem nad tym słownikiem ponad dwadzieścia lat, ale w porównaniu z czasem tworzenia innych dużych słowników jest to niewiele. Na przykład Akademia Szwedzka wydaje słownik, który jeszcze nie doszedł do ostatniej litery, nad którym pracuje już ponad sto lat. I wtedy te problemy stają się odczuwalne. Jeśli chodzi o mój słownik, to pomagał mi Gunnar Arneson, który dołączył w roku 2008; wspólnie opracowaliśmy kilka liter. Starałem się uwzględnić zmiany języka. Na przykład czytając prasę polską i norweską często robiłem notatki z myślą właśnie o słowniku. Przygotowałem nawet nowe wydanie, które mam nadzieję będzie miało okazję się ukazać. Jest tam prawie 400 nowych haseł.

Czy łatwo dokonać zmian w tak dużym słowniku? Czy wymaga to dużych nakładów technicznych?

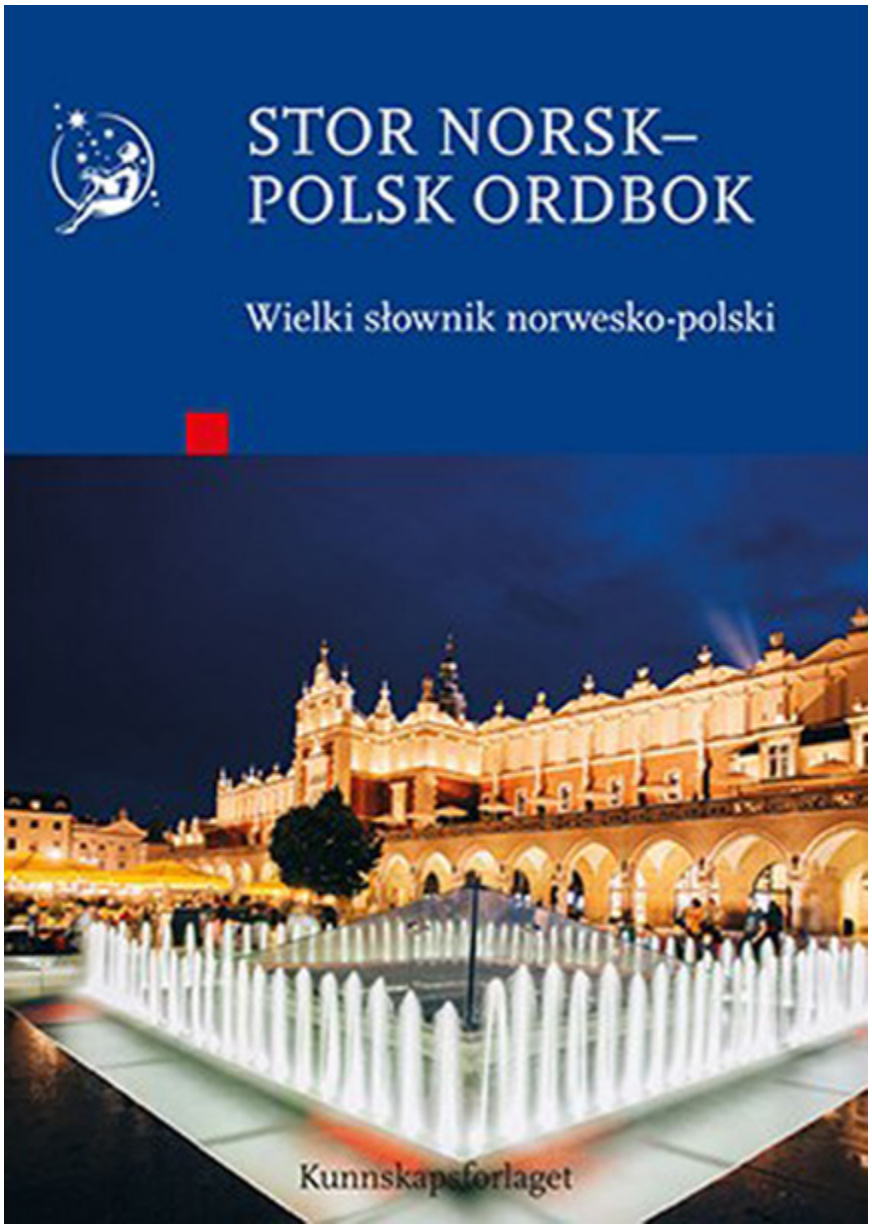
– Dokonanie zmian jest rzeczą łatwą i prostą, ponieważ słownik powstał w programie TeX. Łatwo wprowadzać w nim zmiany, dodać nowe hasła, edytować go, można również słownik wydrukować w wielu wersjach, nie zmieniając niczego w

podstawowych plikach. Na przykład, gdybym chciał mógłbym wypuścić wersję dla Polaków, w której byłoby mniej lub żadnych informacji o polskiej odmianie. Tak samo można wydać również wersję dla Norwegów, w której pomija się wszystkie informacje o wymowie norweskiej.

Pański słownik obejmuje bokmål. Jednak jak wiadomo w Norwegii funkcjonują również inne odmiany języka nynorsk, riksmål i dialekty. Czy słownik uwzględnia w jakimś stopniu te odmiany języka?

– Uwzględnia do pewnego stopnia, ale nie w pełni, bo byłoby to niemożliwe. Istnieją słowniki, w których próbowano to uwzględnić, ale moim zdaniem były one nieudane, np. jak pierwszy słownik norwesko-angielski. Jakkolwiek nie uwzględniam tego, to wprowadzam trochę haseł gwarowych, które są uwzględnione w większym stopniu niż w innych współczesnych słownikach. Ale są to słowa i formy dosyć rozpowszechnione, które pojawiają się w języku pisanym. Sytuacja językowa tutaj jest o wiele mniej wyklarowana niż sytuacja w Polsce, co stwarza trudności dla leksykografa, opracowującego słownik.

W Polsce właściwie nie ulega wątpliwości jaka jest norma. Choć oczywiście istnieją formy oboczne i można dyskutować czy mówić *Norwedzy* czy *Norwegowie*.



Mówiliśmy o różnicach, a co jest wspólne dla obu języków?

– Wpływ języka angielskiego. Zapożyczenia angielskie mają łatwiejszy dostęp do norweskiego, ponieważ języki te są podobne. Umożliwia to upodobnianie angielskich wyrażeń do norweskich. Podczas, gdy w języku polskim jest to trudniejsze. W słowniku oczywiście trzeba uwzględniać nowe słowa, również

angielskie, nawet, jeśli nie zawsze są to słowa, które leksykograf chciałby umieścić w słowniku. Ale język jest taki, jaki jest. Uwzględniłem również słowa z dziedziny technologii komputerowej, bo też jest to coś, co należy do nowoczesności.

W mojej pracy często poszukuję znaczenia słów z dziedziny religii i Kościoła. I przyznam, że w słownikach, z których korzystałam do tej pory brakuje takich pojęć. Czy w Pana słowniku je znajdę?

– Tak, są tu pojęcia związane z Kościołem katolickim. Przykładem może być słowo *ferming*, czyli bierzmowanie. Słowo to nie jest używane w Kościele protestanckim. Pojawia się również ciekawe słowo *retrett*, które w Kościele katolickim oznacza rekolekcje. Natomiast protestanci używają w tym samym znaczeniu słowa angielskiego *retreat*.

Myślę, że nie ma drugiego takiego słownika norwesko-polskiego, który by się tak szczegółowo rozwodził nad znaczeniem tego rodzaju słów.

Jest Pan też znakomitym tłumaczem, tłumaczył pan wiersze polskich poetów, Szymborskiej, Herberta i Różewicza. A także *Dolinę Issy* Miłosza. Ciekawi mnie, którego z polskich poetów lubi i ceni pan najbardziej?

– Tłumaczenie wszystkich tych trzech poetów sprawiało mi przyjemność, zwłaszcza Herberta. Wyzwaniem była dla mnie *Dolina Issy*, właśnie ze względu na swoją specyfikę. Jeśli nie mielibyśmy się ograniczać do pisarzy polskojęzycznych, to muszę powiedzieć, że cenię austriackiego pisarza Roberta Musila, tłumaczyłem jego *Człowieka bez właściwości*. To bardzo inteligentny autor i przepracowany tekst, bo swoje rzeczy przepisywał dziewięć, dziesięć razy. Ale pani pytanie jest trudne, bo to jest trochę tak, jakby pani chciała zapytać ojca lub matkę, które dziecko kochasz najbardziej.

Rzeczywiście, powinnam zadać inne pytanie: czy jest jakiś autor, którego chciałby pan przetłumaczyć?

– Trudno mi powiedzieć, bo przez ostatnie lata tkwiłem w leksykografii i w ograniczony sposób śledziłem, to, co się dzieje w literaturze polskiej. Ale pojawiają się nowi tłumacze i bardzo mnie to cieszy, że polska literatura jest nadal tłumaczona i istnieje zainteresowanie polską literaturą.

Ole Michael Selberg (ur. 1938) – norweski tłumacz i leksykograf. Przetłumaczył na język norweski między innymi poezję Herberta, Szymborskiej i Różewicza oraz *Dolinę Issy*

> Miłosza. I 1983 otrzymał Bastianprisen (nagrodę Stowarzyszenia Norweskich Tłumaczy) za tłumaczenie sztuki Tadeusza Różewicza Białe małżeństwo.

> **TeX** – komputerowy system profesjonalnego składu drukarskiego, obejmuje on zarówno specjalny język jak i kompilator przygotowujący pliki w formatach wymaganych przez urządzenia graficzne. Program jest używany do składania tekstów naukowych. Jego twórcą jest amerykański matematyk i informatyk Donald E. Knuth.

Wywiad pochodzi ze strony:

http://www.katolsk.no/

http://www.katolsk.no/nyheter/2018/03/z-milosci-do-jezyka--wywiad-z-ole-michaelem-selbergiem

Jan Goczoł. Wiersze.



Wychodźstwo

I

> Popatrz przed siebie: pójdziemy przez śnieg, przez ten gips
>
> sypki i przychylny mrozom:
>
> gdzie pole jest szerokie i uciszone, jakby już przeczuwało

beton, gdzie zwęglone ptaki

rdzę z suchej krtani zamiast gwizdu; gdzie w lasach

jedynie dzięcioł piły.

Pójdzie też z nami pies z twarzą ciemną, bo wygasłą,

przy ziemi…

Więc powtarzam: pójdzie z nami pies odwiązany z szczekania;

i pójdzie jeszcze kot,

bo jakże to zarzewie ciepła zostawić w domu

opuszczonym?

A z sobą weź topór: to narzędzie bliskie jest dłoni i starczy

za wszystkie. W nim zapewnienie

więźby, a także szczap, które ogrzewają w czas wypoczynku. Tam

drzewa są dosłowne

– bez pychy (dla której nogi całować gotowi bliźniemu) ale i

poddaństwu obce –

więc weź ze sobą mocny topór. To już wszystko.

II

Nie odwracaj się: tam gorze miasto słów, które odpadły od znaczenia,

jak mięso odpada od kości;

tam miarą echo.

***

Pojedziemy tutaj – drogą białą od kamieni wapiennych

i twardą, bo ciężkim koniom ją zbudowano, wozom i traktorom;

pojedziemy do bliskiego horyzontu pagórka, gdzie nagle

ziemia się powtórzy równiną rozległą;

tutaj są nasze pola, które co roku orzemy wzdłuż i w poprzek

od widnokręgu do widnokręgu, jak od nadziei do nadziei;

tu zbudowaliśmy domy z wiary w trwałość kamieni i czerwonych dachów,

tu wschodzą miłości nasze i tutaj zachodzą;

niewzruszeni, od lat tak dawnych, że wszystko, co dalej

już nie jest ważne, w rosie przedsłonecznej stoimy

i w rosie wieczornej,

nie słowa siejąc, lecz zaciętość ziaren;

tak tu stoimy – milczący uparcie rzece krzyczącej, która nas opływa.

Niedziela na wsi

W niedzielę wracam do Rozmierzy: to ziarenko gorczycy

na mapie w skali 1:2 000 000,

3o kilometrów na południowy wschód od Opola.

Gdzie kończy się obce: te ostatnie tysiąc metrów mojej drogi; tutaj idę już pieszo: od kamienia stajowego do kamienia – jak od paciorka różańca do paciorka – tajemnica radosna, tajemnica bolesna, tajemnica chwalebna. Asfalt popękał jak spierzchnięte wargi.

A tam już krzesło przysuwają do naszego stołu mądrości i dobroci. Źle wyglądasz – mówią to miastowe powietrze ci nie nie służy, czy co? To kobiety –

odpowiadam ja –

biegnące z głośnym płaczem przez wysokie żyta

spać mi nie dają.

* * *

Nie wybierajcie się w odwiedziny do rodzinnych wiosek:

pytania, które położą przed wami obok talerza

z kurzym udkiem, będą nie do przełknięcia.

Nawet alkohol niewiele tu pomoże na te ranę

po chłopskim rozumie. Wielosłowie się w niej zalęgło

przywleczone skądciś. Żywotniejsze nad stonkę.

U nas, w Rozmierzy

Jesteśmy starym lasem. O tym, co pod ziemią

i o powietrzu tej okolicy, wiemy

wszystko.

Myszy naszych lęków. Borsuki milczenia.

Mrowiska naszej pracy. Wiemy, gdzie żerują,

jakimi szczute są psami, jakimi okrążane

tropicielami.

Oko Boże widzi, ucho Pana słyszy

być może więcej. Na przykład nasze dawne czasy,

naszą pamiętliwość.

Wieś moja, żółw

Rozmierz jest to żółw siedemsetletni.

Z roku na rok po kroku uszła cało

Panom, wójtom i plebanom.

> Rozmierz milczy, tak jak milczy zwierzę
>
> Cierpliwe. Spod ciężkiej powieki patrzy
>
> Oko, co się napatrzyło wiele więcej
>
> Nikczemności.
>
>
>
> Z rzadka, ale przecież, żółw ten mówi. Coś,
>
> Być może, niezwykłego. Coś, być może,
>
> Czego lepiej nie usłyszeć.

Wspomnienie o zmarłym w lutym 2018 roku poecie ukaże się w czwartek, 21 maja 2018 r.



Jan Goczoł urodził się 13 maja 1934 r. w Rozmierzy, zmarł 22 lutego 2018 r. w Opolu. Polski polityk i poeta, w latach 1985–1991 poseł na Sejm IX i X kadencji. Prezes oddziału Związku Literatów Polskich w Opolu.

Jan Goczoł na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/poeta-innego-czasu-jan-goczol/